Nr. 15. Lwów, 1 sierpnia 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

RYŚ.

(Jego sposób życia i łowiectwo).



pracy tej zajmiemy się jednym z naszych leśnych drapieżców, którego stan wprawdzie znacznie się zmniejszył, lecz który zawsze jeszcze dość licznie występuje, a potrafi najlepiej zachowane zwierzostany, szczególniej sarn, zupełnie zrujnować w przeciągu kilku tygodni, bądź to przez zagryzanie, bądź też przez ustawiczne niepokojenie i rozpędzanie na wszystkie strony. Zwierzem tym jest ryś czyli ostrowidz, jeden z familiantów naszego domowego kota, z którym ma dużo wspólnych cech. Stan rysi, jak to już powiedzieliśmy, zmniejsza się wprawdzie z każdym rokiem, lecz ciągle jeszcze należy ryś w górach naszych do stałych, a nader niebezpiecznych drapieżców. Utrzymując się w rozległych lasach i używając prawie wyłącznie tylko nocy do swych rozbójniczych wycieczek, zmieniając przytem ustawicznie miejsce swego pobytu, staje się trudnym do wyśledzenia, a to tembardziej, że wycieczki swe tej samej nocy rozciąga na całe kilometry, tak, że prawie nigdy nie można być pewnym, czy zatrzyma się w danej miejscowości jeszcze podczas drugiej lub trzeciej nocy.

Omijając opis jego zewnętrznego wyglądu jako rzecz tak z książek łowieckich, jak rozmaitych pism i wystaw łowieckich powszechnie znaną, przystępuję do opisu sposobu jego życia.

Już wyżej wspomniałem, że przebywa tylko w rozległych lasach, w których zwierzyna obficiej się znajduje. Rozleglejsze lasy znajdują się jeszcze u nas w Karpatach, więc też rysie jeszcze tylko w Karpatach

się przechowują, szczególnie w pasie średnim ku podgórzu zbliżonym. Rzadszy jest w paśmie gór Czornohory w południowym kierunku ku Bukowinie, a to z tego powodu, że tam w źródłowiskach obu Czeremoszów zimy są bardzo śnieżyste i nie ma zwierzyny służącej mu za pożywienie. Rzadko kiedy zapędza się z gór w doły, tam bowiem pobyt jest dla niego zanadto niebezpieczny.

Podczas dnia siedzi w kryjówce swej właśnie w tem miejscu, gdzie go dzień zaskoczył, rzadziej obiera sobie pewne miejsce jako stałą skrytkę na czas pobytu swego w pewnej miejscowości. Z wyjątkiem czasu parzenia się nie wychodzi prawie nigdy w dzień na łowy. W celu osobistego bezpieczeństwa chowa się jednak przy nadejściu dnia w spokojne ustronia, w których znajdują się skrytki w rozpadlinach skał, dziupłach lub pod wywrotami i załomami drzew. Lubi szczególniej małe, na południowych stokach gór znajdujące się wiatrołomy, w których czuje się zupełnie bezpiecznym. Jeżeli w pobliżu znajdują się jamy borsucze, w takim razie używa ich również jako skrytki. Powstało z tego powodu mylne mniemanie, że ryś sam sobie jamy kopie.

Ułożywszy się na dzień w legowisku, leży w niem dosyć silnie i nie ruszy z miejsca tak prędko, jak n. p. wilk lub lis. Dopiero, gdy blisko obok siebie czuje niebezpieczeństwo, zrywa się do ucieczki i zazwyczaj skradając się, rzadko kiedy truchtem idąc, uchodzi. Wraz z nadejściem nocy podnosi się z zajmowanego legowiska i rusza na łowy, którymi całą noc jest zajęty.

Zwierzynę podczas swych łowów podchodzi w ten sam sposób, jak to nasze koty czynią. Nie goni więc upatrzonej ofiary nigdy, lecz zawsze podkrada się pod nią i stara przytem jak najbliżej do niej się zbliżyć. Napotkawszy podczas swej wyprawy świeży trop sarni, idzie za nim, a zbliżywszy się na dostateczną metę, zaczyna ofiarę swą okrążać. Przy tem zdaje się, że na wiatr wcale nie zważa, wypadki bowiem, w których okrążanie pod wiatr potwierdzone zostało, należą bezsprzecznie do kategoryi przypadków. I szczęściem chyba to nazwać, że ma nieszczególniejszy zmysł powonienia, w przeciwnym bowiem razie szkody przez niego wyrządzane byłyby tem większe.

Gdy podczas okrążania spostrzeże zwierzynę już na dość bliską metę, zaczyna się podkradać. Chowa się w tym celu za drzewa i łomy, a często nawet, jeżeli nie jest pewnym swego skoku, wskutek tego, że do zwierzyny, która na czystem miejscu się znajduje, na należytą odległość dostać się nie może, czeka przyczajony póty, póki zwierzyna nie położy się do legowiska, lub też nie zbliży się na odpowiednią odległość. Mając więc zwierzynę nie dalej jak na 5—7 kroków od siebie, jednym skokiem dostaje się do niej i stara się o ile możności za szyję ją schwycić. Za inne części ciała chwyta przy pierwszym skoku chyba tylko po nieudałym skoku do szyi, lub gdy dwa rysie w spółce polują. W takim razie jeden z nich chwyta za szyję, drugi zaś w tej samej chwili skacze do ud i zaczyna je rwać.

Chodzi zazwyczaj sam jeden, sam też urządza sobie łowy. Rzadziej spotkać można razem dwa lub trzy rysie i to będzie wtedy samiec ze samicą, co przytrafia się zazwyczaj w porze zimowej pod wiosnę, a zatem w czasie parzenia się, lub też jest to matka z jednem lub dwoma młodemi.

Jeżeli pierwszy skok się nie udał i zwierzyna mu uszła, natenczas ponawia opisany tu sposób łowienia i powtarza go tak długo, aż upatrzona sztuka padnie ofiarą jego żarłoczności. Niejednokrotnie trwają więc łowy kilka lub kilkanaście godzin.

W pismach łowieckich znajduje się twierdzenie, że ryś, podobnie jak pobratymiec jego lew, po nieudałym pierwszym skoku pozostawia swoją ofiarę w spokoju. Jest to zupełnie nieprawdziwe i rzeczywistemu stanowi nie odpowiadające twierdzenie. Ryś, mimo nieudałego skoku, nie jest na tyle wspaniałomyślnym, by ofiarę swą porzucić, owszem rzuca się kilka i kilkanaście razy, aż ją zetnie, a fakt ten potwierdzony został doświadczeniami znaczniejszej liczby myśliwych, którzy mieli sposobność rysia podczas łowów obserwować. Jeżeli się przytem zważy, że ryś natrafiwszy w swych wycieczkach na stado sarn, tak długo na nie łowy urządza, aż ostatnia z nich nie padnie, to trudno przypuścić, ażeby każdym razem ofiarę swą za pierwszym skokiem ze świata zgładził.

Sarny chwyta najczęściej, gdy się w legowisku znajdują, a że one wybierają na legowiska małe wzniesienia obok leżących kłód się znajdujące, dają też łatwą sposobność zdobyczy dla rysia.

Do cielic i łań jelenia rzadko kiedy się dobiera, nigdy zaś nie rzuca się na dorosłego jelenia rogala, przynajmniej podobny wypadek jest mi dotychczas wcale nie znany. Znam tylko jeden wypadek, w którym ryś rzucił się na cielicę i złapał ją zaraz przy pierwszym skoku za gardło. Przerażona cielica skoczyła razem z rysiem na szyi w bok i obtarła go z siebie w gąszczach. Ryś nie dał jednakże za wygraną. Ponowił polowanie kilkakrotnie, aż cielica ostatecznie zmęczona dłuższą walką i osłabiona znacznym upływem krwi padła pod jego zębami. Wszystko to można było dokładnie na śniegu odczytać. Natomiast padają licznie ofiarą jego krwiożerczości cielęta przy matkach chodzące. Dla nich jest ryś tak samo niebezpieczny, jak niebezpiecznym jest dla całego sarniego rodu.

Ze wszystkich łownych zwierząt jest mu jednak najmilszym przysmakiem zając, którego gotów jest każdej chwili udusić, nawet w tym razie, gdy się znajduje przy większem, przez siebie ściętem zwierzęciu. W r. 1896 raczył się ryś mięsem zatrutego kozła, a gdy mu się w tej chwili nadarzył obok zając, pozostawił kozła i złapawszy zająca udał się z nim do swej kryjówki. Tam go też obok nadjedzonego zająca nieżywym znaleziono.

W czasie gołoledzi i nawalnych śniegów, osobliwie zaś, gdy się na nich lodowa skorupa wytworzy, co się bardzo często pod wiosnę przytrafia, ma ryś zadanie swoje nader ułatwione. Wtedy ginie największa ilość zwierzyny tak pod pazurami tego mordercy, jak i pod kłami wilka.

Przynależność swą do wielkiej rodziny kotów zaznacza ryś w dobitny sposób postępowaniem z ułowioną zwierzyną. Najchętniej spożywa ją w swej zwykłej kryjówce, lub też zaciąga łup, jeżeli to ze względu na rozmiary złapanego zwierza jest możebnem, w miejsca nieopodal się znajdujące bądź złomami drzew, lub też zwartemi, młodemi drzewami i gąszczami zakryte.

Podobnie jak kot, znajdujący się w stanie nasycenia, ułowiwszy małego zwierza, odnosi go na bok, zwyczajnie na 200—300 kroków od miejsca złapania i tam rozpoczyna się ze swym łupem bawić. Zabawa jest tem raźniejsza, jeżeli równocześnie są dwa rysie, lub też matka z potomstwem. Dopiero po zabawie zaczynają się nasycać.

O wartości jarząbka jako przysmaku zdaje się mieć bardzo dobre informacye, a wnoszę to z tego powodu, że jednemu z moich znajomych, p. Martyńcowi w Rafajłowej, udało się podczas jesiennych polowań na jarząbka ubić w rozmaitych latach cztery rysie. Prawdopodobnie wabienie jarząbków podnieciło umysł odpoczywającego rysia do urządzenia łowów na tak szlachetnego ptaka. Wypadły jednak one najfatalniej dla samego inicyatora polowania.

Psa bierze tylko w ostatecznej potrzebie. W kryjówce jednego z zatrutych rysi znaleziono obok wielu sarnich kości także świeżą psią głowę. Innym razem porwały rysie pewnemu znanemu mi leśniczemu ratlerka, który wraz ze swym panem był w lesie i w poczuciu bezpieczeństwa nazbyt daleko od pana swego w las się zabłąkał. W Kosowie padły raz dwa rysie na zatrutego psa.

Za terytoryum łowieckie obiera sobie ryś kilkumilową przestrzeń. Polując w jej obrębie obchodzi od czasu do czasu pojedyńcze części lasu, aż je ze zwierzyny zupełnie uprzątnie, lub też zwierzyna ustawicznymi łowami niepokojona opuści swe zwykłe siedziby i przeniesie się w inne okolice. Lasy, założone złomami i wykrotami drzew leśnych, zbutwiałymi pniakami, w które ryś chętnie włazi, większymi kamieniami i skałami, są mu najulubieńszem miejscem pobytu i najlepszym terenem łowieckim. Tam bowiem znajduje żywność, ma równocześnie dostateczną ilość skrytek, tak dla własnego bezpieczeństwa i schroniska, jak nie mniej dla podejścia zwierzyny. Ryś stary jest zresztą dość ostrożny i przezorny, chociaż inteligencyą nie dorównywuje nawet wilkowi. Młode, jedno- do dwuroczne rysie są nawet bardzo głupie, jedyną ich ostrożnością jest krycie się w lasach. Znane mi są wypadki, w których towarzysz zabitego rysia porzucił go dopiero podówczas, gdy ujrzał człowieka już bardzo blisko siebie.

Podczas polowania zażera wszystko, co mu się pod pazury nawinie i co tylko zwalczyć może, bez względu na to, czy jest głodny, czy też w stanie nasycenia. Krwiożercze to zwierzę woli przytem łup żywcem przez siebie schwytany, aniżeli łup obcy, lub też podłożoną padlinę. Zabiwszy zwierzę, zaspakaja głód na miejscu tylko w takim razie, jeżeli jest bardzo głodny, lub ścięta ofiara jest mu za zbyt ciężką, by ją mógł dalej uciągnąć. Każdą inną zwierzynę odnosi na bok i tam zaspokaja swój głód, poczem pozostałą resztę łupu unosi nieco dalej i przechowuje w miejscach niedostępnych, w zimie regularnie śniegiem przygrzebując. Do przechowanej zwierzyny nie powraca jednak nigdy, jeżeli w okolicy ma dostateczną ilość żywego pożywienia. Jeżeli jednak dłuższy czas jest bez jakiejkolwiek zdobyczy, a więc bardzo głodny, natenczas powraca do przechowanego ścierwa.

Odpędzony przez człowieka od świeżo zaduszonej zwierzyny, okrąża miejsce w odległości znaczniejszej, po ustąpieniu zaś wraca często do swego łupu, nie bierze go jednak, jeżeli z położenia wywnioskował, że człowiek go ruszył. Obawia się bowiem zasadzki. Ruszony łup bierze chyba tylko wtedy, jeżeli jest bardzo głodny, (w ten sposób dostano w r. 1889 trzy rysie w przeciągu tygodnia) i dopóki padlina w rozkład jeszcze nie przeszła. Padliny znajdującej się w stanie rozkładu nie rusza nigdy.

Padlinę innych zwierząt niełownych i nie ubitych przez niego n. p. psa, konia, bierze tylko w razach dłuższego głodu i dopóki ona jest jeszcze świeżą. W ten sposób znane mi są wypadki zatrucia 2 rysi przy psie i 2 rysi przy padłem łoszęciu, oba razy w miesiącu lutym.

Pomimo tego, że ryś w danej miejscowości stale dłuższy czas nie przebywa i stanowiska swe w pogoni za zdobyczą ciągle zmienia, mimo tego przybywszy do pewnej miejscowości, chodzi w niej z zupełną dokładnością zawsze tymi samymi przesmykami czyli wekslami. Jest to objaw życiowy u tego rabusia, który jest bardzo ważny ze względu na łatwość łapania go w żelaza bez przynęty.

Na przesmyki obiera sobie długie grzbiety, którymi zazwyczaj prowadzą górskie ścieżki (płaje) i siodła gór na głównych grzbietach, a więc te same drożyny i weksle, któremi tak samo wilk jak i lis w górach chętnie krążą. Najmilsze zaś są mu przesmyki na długich, prosto nad spadzistymi uboczami przebiegających grzbietach, zarosłych rzadkim, wysokopiennym lasem bez podszycia. Tamtędy bowiem przechodząc, widzi doskonale z góry, co się na uboczach dzieje. Na łowach też wiedziony głównie swym świetnym wzrokiem, jak nie mniej doskonałym słuchem, trzyma głowę zawsze wysoko do góry podniesioną.

Na wekslach idzie nadzwyczaj chętnie po napotkanych kłodach i drzewach leżących na ziemi, lub na poprzek potoków; idąc uboczem góry, lubi przechodzić obok dużych kamieni, w młodych zaroślach drożynami wśród gęszczaków się wijącemi, któremi również i inny zwierz przechodzi, jednem słowem używa wszędzie pomocy terenu, ażeby zwierzynę zajść niespodzianie. Ze szczególniejszą przyjemnością jednak obchodzi płomieniem opalone pniaki, przy których najczęściej się wymoczy.

Ryś ma doskonały wzrok i bardzo dobry słuch, jest więc podwójnie niebezpieczny. Jaki ma węch, trudno mi o tem z całą stanowczością powiedzieć, albowiem były przykłady, że podchodził zwierza pod wiatr, w przeważniejszej jednak ilości wypadków nie zwracał na kierunek wiatru najmniejszej uwagi. Sądzę przeto, że ryś nie ma wcale dobrego zmysłu powonienia i że wspomniane wypadki zaliczyć należy raczej do kategoryi przypadku, aniżeli stanowczego zamiaru.

We wszystkich dziełach myśliwskich znajdują się opisy rysia, twierdzące, że ryś w rannych lub wieczornych godzinach udaje się na drzewa stojące obok przesmyków zwierzyny i płazem na grubszych gałęziach i konarach leżąc, oczekuje w największym spokoju na przeciągającą zwierzynę, na którą jest każdej chwili do skoku gotowy, jeżeli ją jednym skokiem z drzewa dosięgnąć może.

Twierdzenie powyższe należy również do rzędu bajek policzyć, ryś bowiem nigdy na drzewa się nie udaje celem łowów. Znam tylko dwa wypadki, gdzie

ryś użył drzewa jako ochrony dla siebie przed pędzącymi go psami, nie znam jednakże ani jednego wypadku, któryby powyższą bajeczkę potwierdzał. W pierwszym z naprowadzonych dwu wypadków, schronił się ryś do dziupła, w drugim wypadku schronił się między konary buka, nadzwyczaj rozłożysto i pochyło na polanie górskiej wyrosłego. Wypadki te należą jednak również do kategoryi przypadku i nie mogą nawet dawać podstawy do przypuszczenia, że ryś celem łowów wyłazi na stojące drzewa.

Skonstatowanem jednak zostało, że podczas swych rozbójniczych wycieczek, wychodzi niekiedy na pochylone drzewa, na które jest łatwy przystęp, lecz też tą samą drogą napowrót wraca, jeżeli wierzchołek drzewa za wysoko jest od ziemi. Na pochyłe drzewa wyjdzie jednakże nie tylko ryś, lecz jak wiadomo i zając, więc nie jest to bynajmniej dowodem, że ryś po drzewach przebywa. Nawet przez psy ruszony nie chroni się na stojące drzewa.

Taką samą bajeczką, która nawet w książki fachowe się dostała, jest opowiadanie, że ryś rzuca się na ludzi. Mimo całej swej krwiożerczej natury, ryś nie rzuci się nigdy na człowieka w zamiarach napastliwych, przynajmniej nie jest znany taki wypadek ani mnie, ani też moim znajomym, dobrym myśliwym, którzy wielokrotnie z rysiami mieli do czynienia. Że postrzelony, widząc się ściganym i widząc prześladowców tuż za sobą, lub też, że złapany w żelazka bronić się będzie, i to należycie, nie ulega tak samo wątpliwości, jak to, że w śmiertelnej trwodze nawet zając ukąsić może, czego dowód wypisał mi na ręce złapany przezemnie żywcem zając. Tembardziej należy się tego od rysia spodziewać, jako od jednego z większych drapieżców, który oprócz ugryzienia także wcale niebezpiecznie podrapać może. Łapa jego jest silna i ma długie i ostre pazury. Nie radziłbym więc do rannego rysia zbliżać się zanadto blisko i bez odpowiednich ostrożności. W każdym razie lepiej jest zaczekać, aż skończy żyć, lub też dobić go strzałem.

Przeczę zaś jak najusilniej, iżby kiedykolwiek miał się na ludzi rzucać.

O jednym wypadku rzekomego zamiaru rzucenia się na człowieka opowiem tu jednakże.

Strażnik lasowy, będąc w służbie i mając przy sobie dwa gończe psy, znalazł kozła, który ledwie co przez jakiegoś drapieżcę został uduszony i był zupełnie jeszcze ciepły. Kiedy w zamiarze odcięcia rożków klęczał obok capka, usłyszał w tej chwili za sobą jakieś miauczenie. Obróciwszy się, zobaczył rysia do skoku na siebie się gotującego. Uprzedzając go, chwycił strzelbę i ubił go. Miała to być samica.

Opisu powyższego, pomimo zaklinania się strażnika, nie można przyjąć za prawdziwy już z samego względu na sytuacyę. Nasuwa się bowiem pytanie, co robiły podówczas psy. Musiały być z pewnością obok kozła, razem ze strzelcem, chyba, żeby zanegowały swą naturę, więc też dziwnem musi się wydać, że na rysia się nie rzuciły. Następnie dlaczego ryś dawał o sobie znać, że się do skoku gotuje? Prawdopodobnie rzecz miała się w ten sposób, że psy strażnika przytrzymały rysia, znajdującego się obok zaduszonego kozła, a strażnik, korzystając ze sposobności, strzelił do niego i jak to bardzo często się dzieje, ukoloryzował swe opowiadanie. Że psy dobre, wprawione na dziki, potrafią na miejscu rysia wstrzymać, jest rzeczą udowodnioną. Leśniczy Heldt w Szeszorach dostał w ten sposób dwa rysie, które psy jego w gąszczach opadły i wstrzymały, a on je kołem dobił. Inny myśliwy miał psa gończaka, który do wyszukiwania rysi miał szczególniejszą predylekcyę i zabił przed nim dwa rysie. Nigdy jednak ryś, nie napastowany przez człowieka, nie rzuci się na niego, a i napastowany broni się tylko w ostatecznej potrzebie. Należałoby zatem powyższych bajeczek w książkach naukowych zaniechać.

Głos rysia rzadko kiedy słyszeć można i to głównie w czasie parzenia się, to jest około święta Matki Boskiej Gromnicznej. Na ten czas gody weselne powodują rysia, że porzucając swój zwykły tryb życia i w dzień po lesie się ugania i podówczas głos jego usłyszeć można. Zawsze jednak była to samica, której głos słyszano.

Znałem na Bukowinie pewnego strażnika lasowego, który umiał głos rysi naśladować i wedle jego własnego opowiadania miał raz w miesiącu lutym przywabić na głos rysia samca i ubić go.

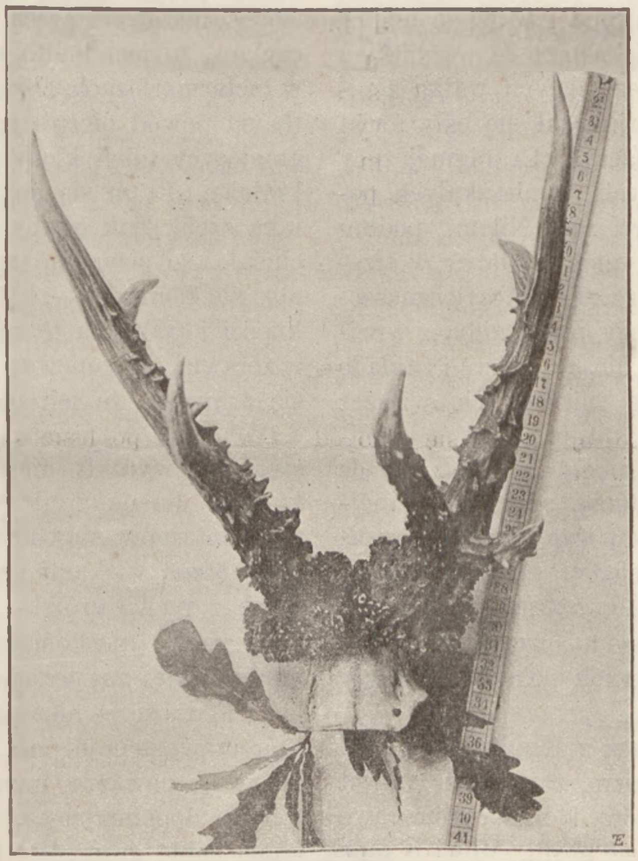
Brehm opowiada, że głos rysia podobny jest do ryczenia niedźwiedzia. Jest to zupełnie nieprawdziwe twierdzenie, wywnioskowane prawdopodobnie z ryku lampartów, do których ryś barwą swego włosa najwięcej się zbliża. Głos rysia jest szepleniąco świszczący, dość ostry, który trudno przychodzi oddać w odpowiedni sposób. Najdokładniej naśladują go słowa: „szlululuszlu! szluluszlu!“ Głos ten słyszeć można co najwięcej na odległość 600 kroków. (Dokończenie nastąpi.)



ŻÓRAWIE.

Wspaniały żóraw jest jednym z pierwszych zwiastunów owej wszechwładnej monarchini wiosny, która gońców swych wysyła naprzód i oznajmia, że także sama przybywa w nasze północne krainy, dając nam zieloność drzew, woń kwiatów, jasność słońca i nowy zapał do życia.

O zwyczajach życiowych tego zwiastuna wiosny znakomite pióro nieodżałowanego ś. p. Władysława Spausty, którego śmierć nieubłagana z wielką stratą dla łowiectwa polskiego niestety tak rychło wyrwała z grona żyjących, dało nam wyczerpującą pracę, napisaną znakomicie, tak, jak to tylko Spausta pisać umiał, Monografię tę zamieścił *Łowiec* w zeszłym roku. Była to ostatnia większa praca śp. Spausty. Do monografii tej nic dodać nie możemy, a jeżeli na czele niniejszego artykułu wypisaliśmy: „Żórawie", to wcale nie będziemy mówili o tych ptakach, jako o ptakach łownych, o ich zwyczajach, życiu itp., bo to wszystko wyczerpał ś. p. Spausta w swej monografii, wspomniemy tu tylko o przesądach i wróżbach, jakie do żórawi są przywiązane.



Oryg. klisza „Łowca".

Żóraw to ptak oddawna otoczony przez lud nasz jakąś czcią, czerpiącą swój początek w przesądach, podawanych od wieków z ust do ust. Najwięcej legend i podań o tym ptaku napotkać można wśród mieszkańców Polesia, na błotach pińskich, gdzie jest główne żórawi królewstwo.

Do mało znanych przesądów, jakie o żórawiu przetrwały dotąd u ludu naszego, należy wróżba, iż jeżeli stado żórawi przeleci ponad wojskiem będącem w marszu lub na ćwiczeniach, to wojna nastąpi niebawem.

Dziwnie je czasem witają po wsiach, bo skoro spostrzegą je po raz pierwszy, wbijają nóż w ziemię, który ma mieć taką siłę magnetyczną, że całe stado będzie się kręciło ponad tem miejscem i dopóty się nie oddali, dopóki nóż nie zostanie wyjęty. W jakim to celu czynią i jakie jest tego przesądu znaczenie, tego sami już dziś nie wiedzą, chociaż można się domyśleć, że to jest zabytek pogański i stoi w związku z owemi wróżbami, które w czasach bałwochwalstwa z lotu ptaków kapłani czynili.

Gdzieindziej znowu mniemają, że jest w mocy żórawi, przynieść ludziom szczęście lub troskę.

Niemniej ciekawą jest rozpowszechniona po wszystkich okolicach opowieść gminna, że gdy stado podczas wędrówki spoczywa w nocy, wtedy jeden z żórawi musi czuwać i zabrawszy miejsce na wzgórku, stoi na jednej nodze, w drugiej trzymając kamyk, aby nie zasnąć i w razie niebezpieczeństwa krzykiem dać hasło ostrzegające towarzyszom. I widać musiała to być stara i rozpowszechniona opowieść, skoro używano jej nawet do godeł, w których kochały się wieki średnie i nieraz wśród godeł tych widzieć można żórawia, trzymającego kamyk, a u spodu dewizę: *ut alii dormiant* (aby inni spoczęli). Miało to właśnie symbolizować nieustanną i niezmordowaną czujność, do której zobowiązywał się ten, kto sobie takie godło obierał.

Są to wszakże okruchy już dawnych, dziś zapomnianych pojęć, w których tu i ówdzie brzmią jakby echa czasów ubiegłych, zabłąkane aż do nas z krajów cieplejszych, kędy żóraw ucieka przed zimą północy. Tam bowiem, na południu, ma on swoje dzieje klasyczne, sięgające głębokiej starożytności i tam tylko, gdzie pisarze starożytni, zwłaszcza greccy, niejedną wzmiankę i nawet niejedną kartkę poświęcili mu w dziełach swoich, można się więcej o nim dowiedzieć.

Przysłowiowa czujność żórawia była już znana od wieków i nawet miał w tym względzie naśladować żórawi jeden z największych bohaterów starożytności Aleksander Macedoński, który na ich wzór kazał sobie zrobić przyrząd, zmuszający go do czuwania w razie potrzeby. Była to nad misą miedzianą, zawieszona na łańcuchu kula srebrna, którą brał do ręki, a jeżeli mimowoli zdrzemnął się nie w porę, wtedy kula, wypadając z ręki na misę, przerywała sen niepożądany.

A i ów gwar żórawi, który tak daleko i szeroko ma się rozlegać po rosie, nie uszedł uwagi starożytnych. Słyszeli oni w nim dźwięk skargi żałosnej, a głośny płacz kobiet podczas zburzenia Troi porównywali z krzykiem żórawi, ściganych przez orła. Nawiązywali do tego jeszcze znaczenie zbrodni tajemnej, którą wyjawia bez-

względny głos prawdy. Bo znany to i pamiętny był ów tragiczny wypadek, na którym Schiller osnuł swoją piękną balladę p. t. „Żórawie Ibikusa“.

Do symbolicznego znaczenia żórawia odnoszą też pisarze greccy szczególny taniec Tezeusza, nazwany żórawiem. Tezeusz bowiem, umknąwszy szczęśliwie z zasadzki, zgotowanej mu w labiryncie na Krecie i wróciwszy na wyspę rodzinną Delos, najpierw złożył bogom dziękczynne ofiary za ocalenie swoje i na upamiętnienie chwili tak radosnej, poczem wystąpił z tańcem na cześć bożka wiosny. Prowadził ten taniec, idąc na czele ustawionych w dwa szeregi młodych towarzyszy i naśladując w obrotach swoich powikłane zakręty labiryntu, jakoteż i lot żórawi, ciągnących, jak wiadomo, w dwu długich liniach za swoim wodzem. To ostatnie naśladownictwo miało wynikać z tego powodu, że podług ówczesnego mniemania bożek wiosny zwykle z wędrówek swoich wracał razem z żórawiami.

Widać, że niemałego znaczenia ptak ten używał w owych czasach, skoro go wplatano i w dzieje bogów i w dzieje ludzi; wszakże najciekawszą ze wszystkich wiadomych o nim okoliczności jest sławna walka z pigmejczykami, którą niemało zajmował się cały świat klasyczny i różnie ją sobie tłumaczył. Ci pigmejczycy zaś, to był ród karłów starożytnych, zamieszkałych podług niektórych pisarzy w Afryce nad Nilem, podług innych w Indyach. Wspomina o nich i Homer w trzeciej księdze Iliady, kiedy mówi, że „Trojańczycy maszerowali jak żórawie, które uszedłszy przed zimą z wrzaskiem lecą ku brzegom Oceanu, niosąc śmierć i zagładę mężom pigmejskim“. Widocznie mieścił ich wieszcz Hellady nad Oceanem, który w pojęciu Greków przedstawiał wody niezmierzone, a tajemniczo otaczające cały świat dokoła. I kiedy niektórzy piszą o pigmejczykach indyjskich, to inni znowu wspominają o północnych i w ogóle rozróżniają między nimi większych i mniejszych, a ci mniejsi właśnie, będący plemieniem rolniczem, toczyli, podług Strabona, zawziętą walkę z żórawiami, które napadały na ich pola i niszczyły im do szczętu zasiewy.

Inny pisarz grecki, Ktezyasz z Knidu, który żył i pisał na 400 lat przed Chrystusem, zajmuje się nawet powierzchownością tych karzełków i nader obrazowo przedstawia, jak wyglądali i jak się nosili. Mówi o nich w te słowa:

W środkowych Indyach żyją ludzie czarni, zwani „Pigmajoj“, mówiący tym samym językiem, co inni Indowie. Są oni bardzo mali, najwięksi bowiem mają dwa łokcie, inni zwykle półtora łokcia. Włosy ich bardzo długie sięgają poniżej kolan, broda do pasa; są bardzo brzydcy. Owce ich nie większe jak jagnięta, a osły i woły jak barany, konie zaś, muły i reszta bydła nie większe od baranów. Król Indów ma w swojej gwardyi trzy tysiące pigmejczyków, gdyż są to bardzo dobrzy łucznicy. Żyją bardzo sprawiedliwie i rządzą się temi samemi prawami, co Indowie. Na zające i lisy polują nie z psami, lecz z krukami, wronami i orłami. Jest też u nich jezioro, mające ośmset stadyów obwodu, po którem płynie olej. Gdy wiatr nie wieje, płyną więc łódkami i zbierają olej do codziennego użytku.

Takie to są szczegóły o tych karzełkach i nic dziwnego, że nikła postać ich nie tylko nie mogła odstraszyć żórawi od walki, lecz owszem ośmielała do niej i że musiało się kończyć na starciach krwawych, skoro szło o obronę zasiewów, napastowanych przez żarłoczne ptaki. Ale, że trzeba w tem szukać głębszego jakiegoś zastosowania, to więcej niż pewne. Niektórzy pisarze greccy i rzymscy, jak Arystoteles i Pliniusz, którzy mieszczą pigmejczyków nad brzegami Nilu, widzą poprostu w tej walce symbol opadania wód nilowych, przypadającego właśnie w porze przybywania żórawi z północy. I dzisiaj wogóle wiążą etnografowie z tą okolicznością pojęcie walki wiosny z zimą, którą uosabiają pigmejczycy, gdy żórawie są godłem wiosennem. W sztuce pojawia się ta walka niejednokrotnie, jako jeden z najulubieńszych przedmiotów, tak, że utworzoną została nawet dla niej osobna nazwa *geranomachii*, z greckiego *geranos* tj. żóraw.

Ale jeżeli w geranomachii chodziło głównie o zasiewy, niszczone przez żórawi, a bronione przez pigmejczyków, to jest nadto ciekawy myt grecki, przytoczony w metarmorfozach Owidyusza, który rzuca pewne światło na powód pierwszy tej szczególnej nienawiści. Pigmejczycy mieli kiedyś ubóstwianą, cudownej piękności królowę, która się nazywała Gerana i którą otaczali taką czcią, jak gdyby była boginią. Lecz nieszczęście chciało, że pewnego razu obraziła na siebie Herę, która, aby się pomścić — któż wie, może zazdrościła jej piękności i tylko na tę sposobność czekała — zamieniła ją w żórawia. A ponieważ pigmejczycy nie mogli pogodzić się z myślą, że ich ukochana królowa została jednym z tych ptaków, przeto je znienawidzili i ztąd też w następstwie wynikły między nimi spory, zatargi i walki krwawe. I ostatecznie na podobieństwo wszystkich innych zatargów, sławne *cherchez la femme* znalazło i w tym razie przed wiekami jeszcze swoje zastosowanie, jako jedna z tych zwrotek, które w życiu i fantazyi powtarzają się do nieskończoności, a pomimo tego nie wyczerpują się, ani też nie powszednieją.

Podnosi to niezaprzeczenie owo tło poetyczne, na którem występuje nasz goniec wiosenny. Bo jeżeli ma on swoje poważne momenta, jako troskliwy opiekun, święcie dopełniający obowiązków czuwania nad powierzoną sobie gromadką i jako jedyny świadek zbrodni osłoniętej tajemnicą głęboką — to ma także prawdziwie dramatyczną chwilę, gdy jako ofiara zawiści niewieściej, ze szczytu wielkości zostaje strącony do roli wędrowca, zmuszonego toczyć krwawe zapasy o garstkę żywności.

Na szczęście, są to tak dawne dzieje, że smucić się nad tem zapóźno, zwłaszcza, że pocieszny, brodaty pigmejczyk, uosobienie zimy już ubiegłej, zwraca myśl ku weselszym obrazom. Przypominamy wreszcie ustęp z sonetu Mickiewicza (Stepy Akermańskie), gdzie między innemi wieszcz taką czyni wzmiankę o żórawiach:

Stójmy! Jak cicho! słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła,
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,
Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie.

Zarządzenia c. k. Starostw
w sprawie przestrzegania ustawy łowieckiej.

Wziąwszy na nowo w dzierżawę polowania gminne, okalające tutejsze rewiry, odniosłem się do c. k. Starostwa w Złoczowie, o wzięcie w swoją opiekę ustawy myśliwskiej, aby i ona była wykonywaną tak, jak są wykonywane inne ustawy w tutejszym powiecie. C. k. starosta, dr. Roder, choć sam mało poluje, znany z energii swej, przestrzega bardzo dzielnie i ustawy łowieckiej. Jako dowód posełam szanownej Redakcyi dwa okólniki, które wydał teraz świeżo po przeprowadzeniu nowych licytacyi polowań gminnych, a to jeden tyczący się włóczących psów włościańskich i brania ich w pole, a drugi w sprawie kradzieży sarnięcia, która to ostatnia sprawa w tydzień po doniesieniu już zawyrokowana, a kara ściągniętą została. Gdyby wszystkie urzędy polityczne sprawę łowiecką taką otaczały opieką, jak c. k. Starostwo w Złoczowie, mielibyśmy bez kwestyi więcej zwierzyny i doszlibyśmy do wyższej kultury łowieckiej, aniżeli obecnie, a przeważna część rewirów we wschodniej Galicyi nie świeciłaby pustkami pod względem zwierzyny. Lecz często niewykonywanie ustawy łowieckiej nie zależy od sprężystości naczelników powiatów, lecz od samych myśliwych, którzy urzędom politycznym, nie dość przypominają o wykonywaniu jej, nie donosząc o przekroczeniach względem niej, a siedzący w mieście naczelnik powiatu nie może o nich wiedzieć. Na przekroczenia te może zwrócić uwagę tylko myśliwy, donosząc o nich za pośrednictwem obszarów dworskich.

Również myśliwi nie zawsze uważają na sposób niszczenia psów włóczących się w polu i lesie, które są przeważnie plagą naszej okolicy; oto sposób bardzo łatwy do zmniejszenia ich liczby. Wiadomem jest, że dużo jest psów, które tylko w nocy bywają spuszczane z łańcuchów, a zamiast pilnować obejścia domowego, wychodzą nocą na łowy. Takiego psa nie łatwo jest myśliwemu spotkać ze strzelbą w ręku, a nawet gdyby się spotkało, to strzał w nocy niepewny. Jako jedyny środek na nie jest zakładanie padliny świeżej, zatrutej, na wiosnę i w jesieni, bo w tym czasie dłużej się konserwuje. Padlinę tę zakłada się na brzegu lasu lub też na polach daleko od zabudowań. Zwykle na jednego barana zatrutego brałem kilka lub kilkanaście psów, znanych nocnych włóczęgów, a oprócz tego truje się na cielsku zatrutego psa dużo wron, srok a nawet lisów w porze zimowej. *Wodzicki.*

Uczyniona przez szanownego naszego delegata uwaga, że chcąc, aby przepisy ustawy łowieckiej były należycie wykonywane, należy o przekroczeniach tej ustawy dawać znać naczelnikom, jest zupełnie słuszną. Okólniki, jakie wydają Starostwa w sprawie przestrzegania przepisów ustawy łowieckiej, są rzeczą bardzo ważną i dajemy wyraz temu przekonaniu, stwarzając dla nich osobną rubrykę w naszem piśmie — większy jednak skutek będą miały konkretne wypadki zastosowania przepisów karnych ustawy, bo jest to rzeczą udowodnioną, że wiadomość o ukaraniu jednego i drugiego kłusownika powstrzymuje innych od kłusownictwa więcej, niż stosy zapisanych papierów. Na to jednak potrzeba, aby każdy fakt udowodniony lub udowodnić się dający był przedstawiony właściwej władzy do rozstrzygnięcia. Każdy z członków Towarzystwa powinien sobie uważać za obowiązek o każdym znanym mu fakcie zawiadamiać albo wprost władzę, albo naszego delegata lub wprost Towarzystwo, które z takiego zawiadomienia należyty uczyni użytek. Zwracamy także uwagę naszych Czytelników, że jesteśmy gotowi dawać każdemu, kto się do nas zgłosi, poradę prawną w sprawach łowieckich. Wypadki zasadniczego znaczenia podawać będziemy w *Łowcu*. *Redakcya.*

Niezwykłe parostki.

Przed kilku tygodniami mieli przechodzący sposobność podziwiać wystawione w witrynie p. A. Dzikowskiego, kolosalne parostki rogacza ósmaka, o niezwykłej sile i kształtach. Parostki te należą do członka naszego Towarzystwa, p. Słoneckiego, który dostarczył nam łaskawie ich fotografii, oddanej na stronie 173 w reprodukcyi.

Rogacz, który je nosił, zabity został w powiecie kołomyjskim. Musiał to być rogacz chyba niepospolity. Waga parostków tych wynosi 620 gr. Wysokość rogów, lewego 31·4 cm., prawego 31 cm., rozpiętość 27·5 cm., obwód koron: lewej 22·4 cm., prawej 22 cm., obwód rogu pod koroną, lewego 12 cm., prawego 10·6 cm. Oczny parostek lewy 10·3 cm., prawy 6·3 cm., tylny lewy 7 cm., prawy 6 cm. Uperlenie, jak zresztą widać z reprodukcyi, wspaniałe.

Jeżeli się zważy, że parostki, które np. na wystawie berlińskiej z r. 1899 otrzymały pierwszą nagrodę, mają wysokości 28 cm., rozpiętości zaś 17 cm., a wagi 20 gr., musimy przyjść do przekonania, że mamy do czynienia z niezwykłym, w całem tego słowa znaczeniu, okazem.

Aklimatyzacya obcych ptaków łownych w Europie środkowej.

Pan de Bellegarde w jednem z pism niemieckich umieszcza uwagi godny artykuł na temat przyswojenia obcych ptaków łownych.

Mówi on tam o dwóch gatunkach kuropatw, które więcej razy do roku się mnożą i przez to do pomnożenia naszych ptaków łownych znakomicie się nadają.

Ptaki, które znoszą klimat Tybetu z jego raptownemi zmianami ciepłoty i które mogą żyć na wzgórzach Chin lub na pochyłościach gór Himalajskich, nadają się niewątpliwie do aklimatyzacyi u nas, klimat nasz bowiem nie jest ostrzejszy od klimatu tamtejszego.

Jeden z gatunków tych kuraków, *galloperdix sphenura* albo *bambusicola thoracica*, pochodzący z Chin, rozmnażano w ostatnich czasach ze znakomitym rezultatem we Francyi, przyczem okazało się, że najzimniejszą temperaturę znosi normalnie, bez szkody. Ta kuropatwa, którą p. Leroy *perdix quakiki* nazywa, jest mało mniejszą od naszej; kogut i kura mają jednakowej barwy upierzenie, a koguta poznać można tylko po ostrogach.

Ten gatunek kuropatw jest niesłychanie płochliwy, przy najsłabszem zaniepokojeniu przyciska się do ziemi, jak gdyby chciał swą niebieską plamę na piersiach zakryć, a że cały wierzch upierzenia ma odcień koloru ziemi, udaje mu się to najczęściej.

W czasie niebezpieczeństwa, osobliwie gdy pies ją zwietrzy, jakoteż i w nocy, wzlatuje na drzewo, gnieździ się zaś na ziemi.

Gniazdko buduje w lesie lub z kraju lasu pod krzakiem, a czasem pod zwisłemi kępami trawy, nigdy na polach lub łąkach. Wogóle buduje gniazdko roztropnie i w pobliżu na drzewie przesiadującego koguta. Liczba zniesionych jaj sięga od pięciu do dziesięciu sztuk, wprawdzie o wiele mniej od naszej kuropatwy, jednak powtarza się to 3 razy do roku. Chowana gnieździ się cztery razy.

Samica siedzi 17—18 dni na jajach, młode dwunastodniowe wylatują na drzewo pod ochroną samca, a samica śpieszy się z drugiem składaniem jaj. Gdy druga partya młodych zobaczy światło dzienne, to już w tym czasie pierwsze podrosły znacznie, ale pomimo to przez rodziców nie są opuszczone, jakby się to zdawać mogło, lecz owszem rodzice zatrzymują je do pielęgnowania i wychowania drugiego lęgu. To też starsze dostarczają młodszym pożywienia, ogrzewają je, jak gdyby same były ich rodzicami.

Pożywienie jest takie same, jak u naszych kuraków. Chińskie kuropatwy rozwijają się jednak daleko prędzej, a co bardzo ważne, wytrwalsze są na wilgoć od naszych, przez to, że na drzewach dużo przesiadują.

Drugi, wiele obiecujący gatunek, jest tak zwana *perdix Hogdsoniae*, kuropatwa z Butanu, którą Leroy od roku 1882 we Francyi z powodzeniem hoduje.

Pochodzi ona z górzystego, bogato zalesionego państewka Butanu, położonego na stoku gór Himalajskich. Jest ona wielkości kamionki i wytrzymuje doskonale klimat francuski. Ten gatunek żywi się korzonkami, robactwem i kiełkującemi nasionami wszystkich roślin. Grzebią więc ustawicznie, parpają i drapią ziemię. Gniazdko długie na 38 cm. tworzy zagłębienie, wydrążone w ziemi, z wierzchu zaś zasklepione do niepoznania różnymi badylami traw grubszych.

Kura znosi cztery do sześć jaj, a siedzi na nich 24 dni. Wykłute świeżo kurczątka natychmiast zabierają się do grzebania, parpania za żywnością, nie oglądając się na pomoc rodziców. Za żywnością rozbiegają się w różne strony, jedynie zimno spędza je pod skrzydła opiekuńcze rodziców. W dwunastym dniu życia podlatują, po trzech tygodniach siadają na drzewa, a po sześciu już można po upierzeniu rozpoznać ich rodzaj.

Od tego czasu stare kuropatwy uważają wychowanie młodych za ukończone, a kura, która z drugiem złożeniem jaj jest już na ukończeniu i zupełnego spokoju zażywać pragnie, prześladuje i odpędza młode zapamiętale. Leroy, otrzymał w jednym roku cztery lęgi, a czwarty lęg, z początkiem września, był zupełnie wykształcony.

Kuropatwa z Butanu da się z wielką łatwością u nas zaaklimatyzować, w dzieciństwie jednak należy obficie zaopatrywać ją w robactwo różnego gatunku, jakoteż w poczwarki mrówek i chrabąszczy.

Na wilgoć jest wytrzymałą, co jest całkiem naturalne, gdyż gatunek tych kuropatw do ptaków żywiących się robactwem zaliczają, a robactwo tylko na miejscach wilgotnych się znajduje.

Wyniosłe, wilgotne miejsca lesiste, od których nasza kuropatwa stroni, nadają się dla tego gatunku najlepiej.

Konstanty Linderski.

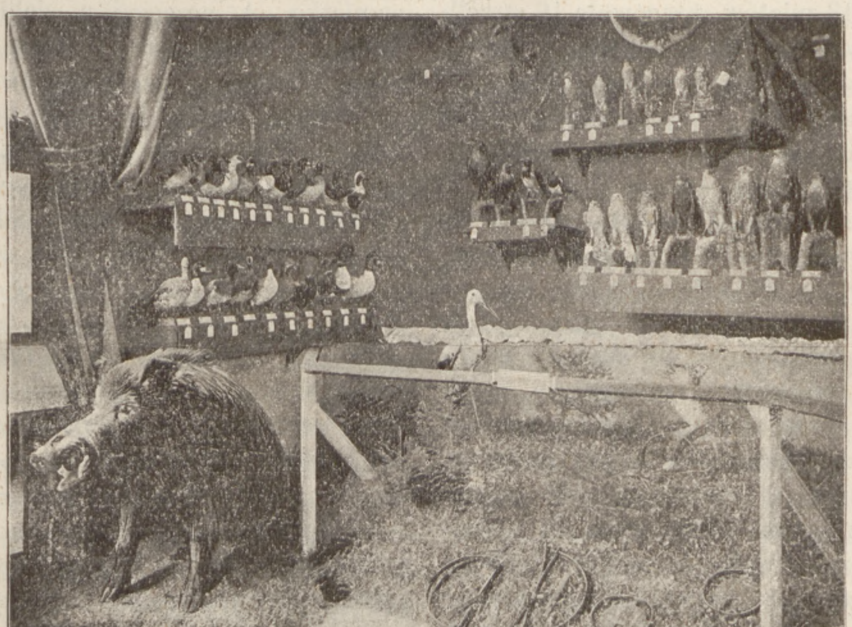


Kilka słów w sprawie lisa.

Czytając i słysząc ciągłe narzekania na szkody przez lisów wyrządzane, nieraz miałem szczerą ochotę podnieść swój skromny głos dla jego obrony, obawiałem się jednak, iż wobec tych gromów, jakie padały na naszego mykitę z ust poważnych i znanych myśliwych, głos mój będzie za nadto słabym, dlatego milczałem. Z prawdziwą przyjemnością przeto czytałem artykuł we wrześniowym i drugi w październikowym numerze *Łowca* umieszczony, a podniesiony w obronie lisa i przemawiający za powstrzymaniem się od zupełnej zagłady tego strasznego niby szkodnika.

Mając zatem za sobą dwa tak poważne głosy, śmiało i mój głos podnoszę, a to tem bardziej, że od kilkunastu lat już z obowiązku mojego zawodu przebywając prawie ciągle wśród lasu tak w dzień, jak i nieraz w nocy, widziałem już nie jedną rzecz taką, której nie każdemu łowcowi doświadczyć jest danem.

Przemawiając za lisem nie wychodzę wcale z tego zapatrywania, żeby był on tak małym szkodnikiem, iżby go można było lekceważyć zupełnie — owszem należy on do szkodników bardzo niebezpiecznych — ale ileż to wyrządzonych szkód w zwierzostanie niższym zupełnie niesłusznie na lisów zwalanych bywa! Wieleż to ptactwa łownego i szaraków ginie od kun, tchórzów, jastrzębi, sów, wron, srok, psów, kotów, po lasach i polach, a za wszystko pociąga się tego nieszczęśliwego lisa do odpowiedzialności.



Zbiór ptaków na warszawskiej wystawie łowieckiej.

Czemuż nikt nie nawołuje do wytępiania kun i tchórzów, które żyją li tylko z rabunku, czemuż nikt nie pisze o szkodach, jakie czynią wrony, sroki i ten uświęcony bocian. Nigdy nie czytałem słówka jednego o szkodach przez małe sowy wyrządzanych, a tylko ten lis i zawsze lis!*)

Spędziwszy tyle czasu w lesie i w polu i będąc namiętnym myśliwym robiłem ciągle spostrzeżenia i widziałem niezliczone razy jastrzębie bijące na zające; widziałem nieraz zająca, opadniętego przez wrony i sroki, te złodziejki, z których dość, by jedna łup jakiś zoczyła i skrzeczeć zaczęła, a zleci się ich zaraz kilka, by wspólnemi siłami dokonać tego, czego jedna sama nie dokona; widziałem i przez kilka dni obserwowałem jastrzębia myszołowa, polującego na kaczki dzikie na stawie, zanim mi się zgładzić go udało; wystawioną przez mego legawca przepiórkę, zanim do niej strzelić zdążyłem, porwał jastrząb w swe szpony (swoją drogą był to ostatni łup jego w życiu); w oczach moich uświęcony bocian złapał i połknął derkacza. Mój pies legawy wystawił mi w polu kota domowego w zbożu, trzymającego w łapach przepiórkę; przed kilku dniami wracając popod las drogą do domu wieczorem ocaliłem strzałem życie staremu zającowi, który z pola uciekał do lasu, opadnięty przez zwykłą, małą sowę, tak zwaną „pójdźkę“, która tak go biła, że aż biedny skrzeczał — lecz dotychczas ani razu nie widziałem lisa prześladującego zająca, mimo tego, iż byłem lat kilka w okolicy, gdzie ich nie brakowało, owszem było zanadto, czego dowodem, iż nie licząc strzałów, na same trutki brałem do 30 sztuk każdej zimy.

Nie wynika z tego naturalnie, że lis wcale zwierzyny nie niszczy i tego też nie twierdzę wcale, owszem jestem aż nadto silnie przekonany, iż łapie to, co mu się złapać uda, ale twierdzę, iż zwierzyna nie jest jego wyłącznem pożywieniem i nie zajmuje się on wyłącznie polowaniem na nią, łapie i niszczy mimochodem, wprawdzie może i znaczną jej ilość rocznie przetrzebić, ale też wszystkie szkody na niego zwalać i czynić go g ł ó w n i e odpowiedzialnym za nie również nie można, gdyż twierdzę stanowczo, na doświadczeniu oparty, że rzeczywiście wyrządza on stosunkowo nieliczną część szkód w zwierzynie, a w zamian za to daje nam niepospolitą przyjemność, gdy na polowaniu ku naszemu stanowisku zdąża.

Na twierdzenie moje co do szkodliwości lisa mam następujące przykłady:

Niszcząc lisy w okolicy dawniejszego mego pobytu przez lat pięć tak, iż corocznie prócz kilku zabi-

*) Korespondent nasz uniewinnia zanadto lisa, ma jednak zdaniem naszem racyę, że wskazuje także na inne szkodniki, które rzeczywiście zupełnie lekceważymy. Ze wszystkiemi wyrażonemi przez niego zapatrywaniami nie godzimy się, każdemu jednak zapatrywaniu z zasady w łamach naszych gościnności udzielamy. *P. R.*

tych, brałem po dwadzieścia, trzydzieści, a nawet i więcej lisów każdej zimy na trutkę, a zatem niszcząc ich stosunkowo dosyć, ale ograniczając na tem jedynie całą hodowlę zwierzyny, najdowodniej przekonałem się przez wszystkie te lata, iż zupełnie nie podniosłem stanu zwierzyny. Rewir, wśród którego obecnie pracuję, posiada na 1200 morgach lasu własnych ośm jam lisich, prócz tego otoczony jest lasami, wśród których nikt lisów nie tępi z rozmysłu, chyba na polowaniu, kiedy niekiedy jakiś padnie. Dla nadzwyczaj przykrego dla naganki terenu, lisy na polowaniu, które się raz do roku odbywa, uchodzą tak, iż od lat czterech dopiero trzy ubito, mimo tego, iż na każdem polowaniu pogonka lisy widuje, a ja sam również dość często w lesie i w polu je widuję. Stan zajęcy jednak bardzo się podnosi, co udowodniają następujące cyfry:

W pierwszym roku polując trzy dni w ośm strzelb, czyli że przegoniło się 29 miotów, pracowało 24 strzelb przy 40 pogonki, padło 79 strzałów, a ubito 33 sztuk, prócz tego w ciągu zimy na potrzebę właściciela ubito 2 sztuki, razem zatem ubito w pierwszym roku 35 zajęcy. W drugim roku polowało się 2 dni po ośm strzelb czyli, że przegoniło się 13 miotów, pracowało 16 strzelb a więc wzięto o 11 miotów mniej i pracowało 8 strzelb mniej, przy 35 pogonki dano 94 strzałów i padło 44 sztuk, prócz tego w zimie ubito na potrzebę dworu 9 sztuk, zatem ogółem ubito 53 sztuk. W trzecim roku t. j. wśród ubiegłej zimy, polując przez 2 dni po 11 strzelb, czyli że przegoniło się 21 miotów, pracowało 22 strzelb przy 35 nagonki, padło już 184 strzałów, a na rozkładzie znalazło się 82 zajęcy, ubito na potrzebę dworu sztuk 14, razem przeto uzyskano sztuk 96. Przytem polowano bez śniegu, w deszcz, zatem w porę, w której wiele zwierzyny uwijając się przed pogonką tuż przed myśliwymi nazad wraca w tył bez strzału. Gdybyśmy w inny dzień na śniegu polowali, byłoby padło, śmiało można powiedzieć, 150 sztuk. W skróceniu: w pierwszym roku padło sztuk 33, w drugim roku sztuk 53, w trzecim roku sztuk 96; tu chyba namacalnie się widzi, że stan zwierzyny znacznie się podnosi, ostatni bowiem rok wykazuje w trójnasób zwiększoną ilość uzyskanej z polowania zwierzyny, mimo tego, że lisów wcale się nie tępi, a mądry mykita nawet podczas polowania swoją skórę salwować umie. Skrzętnie zato wybiera się gniazda jastrzębi, stare zaś, gdzie mogę, biję, koty i psy nie ujdą z życiem w las się zagnawszy, a kłusownicy omijają naszą knieję (choć nie brak ich w tej okolicy), ostry klimat kompensujemy podawaniem karmy zwierzynie, a właściciel, p. dr. Edward Kozicki, sam myśliwy, woli mieć zwierzynę w kniei, niż na półmisku i swoje potrzeby ad minimum ogranicza. Zaznaczyć tu muszę, że my tylko s a m i w całej okolicy hodujemy i chronimy zwierzynę, otaczają nas bowiem obce lasy, w których tyle na zwierzynę się nie uważa, co oczywiście zadania nam nie ułatwia.

Te dwa przykłady wyraźnie wykazują, że lis nie jest główną przyczyną lichego zwierzostanu. Znam zresztą wiele rewirów, gdzie lisów jest wiele, a mimo tych strasznych rzekomo szkodników stan sarn i zajęcy prześliczny.

Nie lisy to same tępią zwierzynę, inne szkodniki stokrotnie więcej je niszczą, a ostry nasz klimat i obojętność niektórych właścicieli na los zwierzyny w zimie znacznie na upadek zwierzostanu wpływają. Zwierzostan, który należytą otacza się opieką, może być i bez zagłady lisów świetny, a jestem przekonany, że polując cały dzień w krajach, gdzie jeden myśliwy dziennie setkami bije zające, kuropatwy i bażanty nie zaznałbym tej rozkoszy, jaką mam polując w naszych rewirach, ubiwszy za cały dzień 2 lub 3 zające i jednego lisa. Sam byłem świadkiem, jak w jednym przezemnie administrowanym rewirze, pewien cudzoziemiec, dostojny i dobry myśliwy, ubiwszy lisa, prosił jakby o jaką osobliwość o pozwolenie wyrwania mu kłów na pamiątkę. A przecież u siebie ubijał setkami zające, bażanty i kuropatwy, lecz nie miał lisów. Dla czegoż więc mamy doszczętnie pozbawiać się dobrowolnie zwierza tak pięknie ilustrującego nasze łowy?

Nasi przodkowie wcale nie zajmowali się nawet szarakiem, mieli oni innego zwierza, o tępieniu szkodników nikt nawet nie myślał, ani też o karmieniu zwierzyny; prócz lisów były wilki, rysie, żbiki i t. d., mimo tego ród zajęczy przechował się po dzień dzisiejszy, ręczę, że przy zajęciu się tym zwierzem, pielęgnowaniu, chronieniu przed innymi szkodnikami i kłusownikami, poprawimy stan zwierzyny niższej i bez wytępienia lisa, a przerzedziwszy go cokolwiek tylko tam, gdzie rzeczywiście zanadto się rozmnożył, będziemy mieli i niższą zwierzynę, a będziemy mieli i tego pięknego szkodnika dla ubarwienia łowów, które pozbawione dzika i lisa stałyby się tak monotonne, iż rzeczywiście prawdziwy myśliwy strzelbę do rąk brałby musiał albo tylko z obowiązku lub w chęci zaopatrzenia się w pieczyste ze zająca ale nie dla rozkoszy łowów.

Więc też i ja wołam: nie wytępiajmy lisa doszczętnie! nie pozbawiajmy się samochcąc tak pięknie urozmaicającego nasze łowy zwierza! ograniczmy tylko ilość jego tam, gdzie rzeczywiście zagrażająco występuje, a tępmy inne szkodniki, które w zamian za szkodę, nie dają nam ani pożytku ani przyjemności, prześladujmy kłusowników, dawajmy jeść zwierzynie wśród naszych ciężkich zim, a będziemy mieli sarny, zaj ące kuropatwy, ale także i lisa, dla którego cudzoziemcy do nas przyjeżdżają i nasze łowy sławią.

Modest Douillet.

KORESPONDENCYE.

W sprawie broni małokalibrowej.

Rzeszów, w lipcu.

W Nrze 13. *Łowca* przeczytałem z wielkiem zainteresowaniem artykuł p. A. Przedrzymirskiego w sprawie małokalibrowej broni. Czułem, że miałbym coś do zarzucenia zapatrywaniom szanownego Autora o użyteczności takiej broni, ale on sam większą część tych zarzutów podniósł i sam argumenty przeciwko nim podał. Wobec tego nie miałem zamiaru zabierać głosu, tem bardziej, że nigdy ze sztućca małokalibrowego nie strzelałem, broń tę znam tylko z opowiadania, a używam sztućca dubeltowego expresa kal. 500 i półexpresa przy trzylufku kal. 450. Rezultaty, jakie z nich udało mi się osiągnąć, zadowalniają mnie zupełnie i sądzę, że zadowolniłyby także więcej wymagającego myśliwego. Przypadkowo wpadł mi jednak w rękę jeden z ostatnich numerów czasopisma myśliwskiego *Weidmannsheil*, w którem umieszczono artykuł kap. Spiessa w tym samym przedmiocie pod tytułem *Die kleine Kugel* i raz dla tego, że to, co pisze p. Spiess jest bardzo interesujące i może zająć czytelników *Łowca*, a powtóre, że do pewnego stopnia na jego powadze oprzeć się mogę, pozwalam sobie o sprawie tej pomówić. Autor, jeden z najlepszych siedmiogrodzkich myśliwych na grubą zwierzynę i znakomity obserwator w dziedzinie łowiectwa, stwierdza stanowczo, że sztuciec małokalibrowy, specyalnie manlicherowski, jest bronią idealną, ale tylko w górach, gdzie każdy załom stanowi już nieprzebytą zaporę dla kuli, gdzie zwykle wysoki i gęsty las przeszkadza kuli iść daleko, gdzie wreszcie ludność jest rzadsza i wobec tego możliwość nieszczęśliwego wypadku jest sprowadzoną do minimum. Z całego jednak artykułu wypływa, że na równinach uważa autor broń tę za bardzo niebezpieczną, jak bowiem przytacza, został jeden z żołnierzy zabity wypadkowym strzałem na odległość 3500 metrów za ostatnim wałem ochronnym strzelnicy sybińskiej! Kula, która przebiega drogę 4 kilometrów i po jej przebiegnięciu na miejscu zabija, mogłaby zatem jeszcze dalej biedz i szkodzić, nie potrzebuje bardzo rachować na wypadek, żeby w tak dalekiej drodze w okolicy płaskiej i jako tako zamieszkałej, spotkać się z człowiekiem lub domowem zwierzęciem. Mieć taką broń w ręku, to znaczy albo ustawicznie narażać się na niebezpieczeństwo postrzelenia lub zastrzelenia bliźniego, albo też, jeżeli się jest ostrożnym, jak się tego zresztą od każdego myśliwego porządnego wymaga, na dziesięć wypadków spotkania, ośm razy nie strzelić z obawy przed wypadkiem. Nie mam zamiaru polemizować z p. Przedrzymirskim, bo imponuje mi tem, że takie dokładne czyni obserwacye i że się niemi z nami, czytelnikami *Łowca*, nie omieszka dzielić, ale bałbym się, żeby wielu z naszych myśliwych nie dało się zachęcić do używania tej broni. Kto, jak ja przynajmniej, bardzo często, czy to na podjeździe, czy na stanowisku, czuje, że mu z expresem za ciasno i dobrze się musi oryentować, żeby naprzód wyznaczyć sobie te miejsca, na których do zwierzyny strzelać sobie pozwoli, ten mnie pojmie. Z drugiej strony rozumiem znowu p. Przedrzymirskiego, którego celne strzały mieliśmy sposobność podziwiać na naszych strzelaniach popisowych, że mieć w ręce taki doskonały instrument, jakim musi być sztuciec małokalibrowy, jeżeli się jest takim strzelcem, stanowi wielką przyjemność. Kapitan Spiess pisze, że bardzo często zdarzało mu się pięć kul z kolei tak o 150 metrów w tarczy umieścić, że mógł je albo nakryć, albo dotknąć srebrnym guldenem! Precyzya strzału jest zadziwiająca, nic też dziwnego, jak wyżej powiedziałem, że dobry strzelec o tak dobrej broni marzyć musi. Zgodnie z p. Przedrzymirskim kap. Spiess podaje przykłady szalonej siły, z jaką kula małokalibrowa, ścięta i pokryta płaszczem, działa na organizm zwierzyny. Zdaje mi się jednak, że ogromne spustoszenia, jakie w organiźmie zwierzęcym kula taka sprawia, są także ujemną stroną broni. Zwierzyna tak okropnie pokaleczona nie może sprawiać przyjemnego widoku, abstrahując już od tego, że bardzo często jest ona z tego powodu zupełnie bezwartościową. Kap. Spiess mówi, że z orłów i głuszców, do których ze sztućca 8 mm. strzelał, zostawały mu w ręce tylko głowa, nogi i trochę piór. A przecież to ptaki niemałe! Chociaż kap. Spiess, jak już powiedziałem, stwierdza stanowczo, że broń małokalibrowa dla swej celności, razancyi i zabójczości jest niezrównaną, jednakże przytacza całe mnóstwo przykładów, w których strzelając z expresa kal. 450 kulą spłaszczoną, ekspanzywną, osiągnął jak najlepsze rezultaty. Twierdzi on, że od lat czternastu używając tego expresa, wyjąwszy tylko te wypadki, w których strzelana gruba zwierzyna, a przedewszystkiem dziki były zanadto sadliste, lub wypadki złego strzału w miękkie, jeżeli zwierzyna nie została na miejscu, to w każdym razie zostawiła tyle farby, że odnalezienie jej nie przedstawiało trudności. Strzał w skok przedni, zły strzał w tylną łopatkę, który tylko muskulaturę nadweręży, nie kładzie zwierzyny, ale za to każdy inny strzał, wyjąwszy t. zw. *Krellschuss*, ma bezwarunkowo śmiertelny skutek. Przy strzale w głowę, szyję i krzyże pada zwierzyna z dymem, strzał w komorę, jeżeli nie na miejscu, to w każdym razie po kilku skokach kładzie grubą zwierzynę. Kap. Spiess oponuje np. twierdzeniu, jakoby kozica, której organizm jest bardzo na strzał oporny, szła daleko po strzale ekspresowym. Strzelane przez niego kozice padały przeważnie z dymem lub szły tylko kilka kroków, chociaż nie przeczy, iż były wypadki, że dobrze na oko strzelone kozły (sarnie) i kozice padały dopiero o 70—80 kroków od miejsca strzału. Z ośmiu niedźwiedzi, które kap. Spiess ubił, został N. 1. z dymem po kuli, którą otrzymał na kulawy sztych, a która przeszła przez całe ciało. N. 2. padł na miejscu ugodzony w kręgi szyjne. N. 3. również na miejscu ze strzałem w krzyże. N. 4, zły strzał w komorę, kula przeszła przez całe ciało trochę w poprzek ku zadowi, leżał o 150 kroków od strzału. N. 5. w krzyże, został na miejscu, N. 6. na kulawy sztych z przodu, kula przeszła przez całe ciało, leżał o 250 kroków od strzału. N. 8. ze sztućca małokalibrowego, rulował po dobrym strzale w komorę, co byłoby się z nim stało, przypuszczać należy, także po podobnym strzale z ekspresa. Nie jest więc tak źle z ekspresem i sądzę, że mniejszy między nim a manlicherem przedział, niż między łukiem a ekspresem. Zresztą przyznam się, że co do mnie, to nie jest mi bardzo sympatyczne takie ulepszanie broni, żeby zwierzyna o pół kilometra odemnie oddalona nie była bezpieczną. Na stepach Afryki, gdzie chodzi o zdobycie zarazem pożywienia,

którego w razie nie zabicia danej zwierzyny może braknąć, użycie takiej broni tłumaczę, ale u nas, sądzę, może zresztą całkiem odosobniony, że to dobre jest za dobre. Tak udoskonalona broń, jaka obecnie już egzystuje i jaka za kilka lat będzie, jeżeli tak dalej pójdzie, ze swoją siłą, dokładnością, z wizyrem i lunetą do tego, jest coraz doskonalszą maszyną, która, zdaje mi się, że od strzelca coraz mniej zdolności wymaga. Nie mówię o śrutówkach, bo co do tych mogą być jak najlepsze, zwierzyny bowiem drobnej jest coraz więcej i będzie coraz więcej; ale za dobre sztućce przyczynią się do wyniszczenia grubej zwierzyny, którą i tak kultura i inne rozmaite czynniki bez miłosierdzia tępią. Boję się, żeby mnie kto z tego, co tu powiem, nie posądził o zacofanie, ale mając wybór między bronią za dobrą a łukiem, wybrałbym ten ostatni. Rola sienkiewiczowskiego pana Muszalskiego przypadłaby mi bardzo do smaku. *S.*

Byszów, 12. lipca.

Jako delegat Towarzystwa łowieckiego na powiat Sokalski, idąc za przykładem moich kolegów delegatów w N. 7. *Łowca* z dnia 1. kwietnia 1899 w korespondencyi z daty Byszów dnia 1. marca 1899, przedstawiłem stosunki łowieckie naszego powiatu, co prawda smutne i nieciekawe.

Korespondencya moja wywołała odpowiedź p. Wincentego Kraińskiego w N. 13. *Łowca*, a kategoryczne zaprzeczenia korespondenta, oraz treść i forma tej korespondencyi są tego rodzaju, że nie mogę jej pominąć milczeniem, jakkolwiek, jako zawodowy rolnik, mam wstręt do szermierki . . . . . piórem. P. Kraiński twierdzi, że to nie jest z prawdą zgodnem, by on oddał prawo polowania w swoim lesie nauczycielowi ludowemu z Byszowa. Nie jestem lingwistą i dla tego może nie umiem dla pewnych czynności, wynaleść dokładnie je określających wyrażeń, zdawało mi się jednak, że nauczyciel, który przez dwa miesiące lipiec i sierpień 1898 r., codzień własnym koniem i wózkiem jeździ do lasu ze strzelbą, strzela w lesie (wątpię, czy szkodników), a nawet prowadzi polowanie z naganką w zimie — ma sobie to polowanie oddanem; jeżeli zaś to nie jest nadaniem mu tego prawa, to niech szan. korespondent użyje jakiegokolwiek innego wyrazu, ja się na każdy z góry zgadzam, z tem jednak zastrzeżeniem, że skutek pozostanie ten sam, to jest, że z powodu nieszanowania zwierzyny w sąsiedniej kniei i w moim lesie jej nie ma; bo juścić każdy z łaskawych kolegów w św. Hubercie przyzna mi, że rezultat całodziennego polowania, dochodzący do 20 zajęcy i 4 rogaczy, jak to p. Kraiński sam pisze, na obszarze kilkuset morgów, jest mniej, niż bardzo skromny. P. Kraiński wreszcie zastrzega się, że administracya jego majątku nie podlega krytyce w czasopiśmie publicznem, a ustęp ten odnosi się do kultur. Podzielam w zupełności to zapatrywanie i nie myślę wcale krytykować jego systemu gospodarstwa leśnego (z wyjątkiem zwierzyny), który może być nawet bardzo dobrym dla niego, twierdzę jednak powtórnie, że nie wiadomo mi nic o kulturach w lasach p. Kraińskiego, o kulturach, w którychby sarny robiły szkody i dla tego należałoby je tępić. Muszą jednak kultury być, skoro tak właściciel zapewnia, choć nigdy ich, pomimo że jestem najbliższym sąsiadem, nie widziałem. *Juliusz Tarnowski.*

Kronika.

Na polowaniu w rewirach należących do dóbr cesarskich w Göding, arcykiążę Otto zabił w maju br. w trzech dniach 50 kozłów, przeważnie kapitalnych.

Gniazdo kuropatwie w rowie przydrożnym. Do *N. Oe. Jagdztg.* jeden z myśliwych donosi: Dnia 11. maja szedłem gościńcem do Pirnitz, gdy w tem nagle towarzyszący mi wyżeł stanął przy rowie obok gościńca. Zwróciło to moją uwagę, podszedłem przeto w kierunku rowu i ujrzałem tam kuropatwę, która, gdy oczy się nasze spotkały, zerwała się, uleciała kawał, a potem pociekła. Ze zdziwieniem ujrzałem, iż siedziała na gnieździe, w którem znajdowały się cztery jaja; musiała więc już przez kilka dni siedzieć na gnieździe. Rzadkiem to jest zjawiskiem, żeby kuropatwa usłała sobie gniazdo w rowie, przy drodze, po której dziennie przejeżdżały setki fur i przechodziły setki osób. W mojej długoletniej praktyce myśliwskiej, nigdy mi się to nie zdarzyło.

Kalendarz łowiecki.

Sierpień.

Zaczyna się raj dla myśliwego. Wolno strzelać dropie, gołębie dzikie, przepiórki, błotne i wodne ptactwo, jakoteż jelenie i kozły przez cały miesiąc, kuropatwy i bażanty od 15 Na błotach grzmią salwy, pieski się zwijają, bo jak donoszą. ciąg dubeltów bardzo pięknie się zapowiada. Kaczek też jes, dosyć.

W tym miesiącu należy już myśleć o przygotowaniu karmy zimowej dla zwierzyny, w tym celu należy robić wiązki z gałęzi liściastych drzew i przechowywać je w suchem miejscu.

Dziki, które w dzień w największych gęstwinach się układają, robią obecnie po nocach wielkie szkody w ziemiopłodach.